

wodu tak długiej jego nieobecności. Przypuszczenie to potwierdził jeszcze gorączkowy okrzyk Józki:

— Ach! Nareszcie pan przyszedł!
— Przepraszam panią, bardzo przepraszam — zaczął się tłumaczyć — że odszedłem. Ale miałem temu koledze coś do...

— Ależ ja się o to nie gniewam wcale — wpadła mu pospiesznie w mowę Józka — tylko panie Jurku, płacmy zaraz, bo ja chcę stąd iść.

— Dlaczego? — zapytał zdumiony jej nerwowym zachowaniem i nagłymi rumieńcami. — Co się stało? Dopiero przed kilkunastu minutami zdawała się pani bawić tak dobrze.

— To wtedy, ale teraz już nie... No idzie pan czy nie, bo inaczej to ja sama idę! — rzuciła z rozdrażnieniem.

— Płacić! — zawołał Jurek, o nic więcej nie pytając.

Mimowoli rozglądał się wokół, jakby chcąc zrozumieć, co się Józce stało. Nie doirzał jednak niczego takiego, coby go objaśnić mogło. Ci sami ludzie, te same twarze. Tylko przy jednym z sąsiednich stolików nie było oficera, który tam poprzednio siedział. Miejsce jego zajął jakiś młody jegomość z twarzą miłą, ale nieciekawą, o pospolitych rysach i ogorzałej cerze.

Nowy gość miał w całej postawie coś, co kazało przypuszczać, że jest przybyszem z głębokiej prowincji, lub ze wsi. Świadczyło o tem źle skrojone, niezgrabne ubranie, słomkowy z szerokimi brzegami, od słońca przepalony kapelusz i cera nazbyt ogorzała.

Oczy miał utkwione w wielkiej plachcie „Czasu”. Ręce duże, opalone, w których trzymał gazetą, drżały. Usta ściągnął mu dziwny jakiś bolesny skurcz.

— To szczególne. — przemknęło Jurkowi przez myśl — Ten pan czyta „Czas” do góry nogami. A nie jest chyba analfabetą i na wariata także nie wygląda... A Józka taka zmieszana, zmieniona. Czyżby on?... Ależ nie patrzy na nią wcale...

Pochylił się ku Józce i zapytał szeptem — Czy może kto obraził panią?... Może ten pan, tam, w jasnym ubraniu?... Jeżeli tak, to ja... Józka potrząsnęła głową.

— Nie. ten pan mnie nie obraził... On mnie nigdy, nigdy nie obraził... — dokończyła bardzo cicho, jakby wzruszona, czy zawstydzona.

— Ale pani go zna?... —

— Tak, znam... Chodźmy już... O! jest płacniczy.

Jurek zapłacił i zabierali się do odejścia.

Z drżących palców ogorzałego mężczyzny wysunęła się gazeta i upadła na ziemię. Z policzków, z warg zbiegających nagle uciekła krew.

Sięgnął ręką do kapelusza i uklonił się Józce nisko, bardzo nisko. Szare, okragłe, pocziwe oczy spoglądały, jak oczy rannego zwierzęcia.

Józka skłoniła lekko głowę. Ciałem młodej mężatki wstrząsnął dreszcz, pomimo ciepłego wieczoru.

— Czy pani chłodno? — pytał troskliwie Jurek.

— Nie... Chodźmy prędzej...

Legionista był już niemal pewny, że to ten nowoprzybyły wypędza Józkę z kawiarni. Ale dlaczego?... Kto to jest?... —

Palita go ciekawość, pytać jednak nie śmiał.

Józka powiedziała mu sama. Nazbyt wzruszona, aby ukryć wrażenia swoje, snuła dalej głośno myśl

— Nigdy niczem nie obraził mnie... Nigdy mi nie dokuczył... Był dla mnie takim dobrym... takim uległym... Zanadto dobrym i uległym... A ja postąpiłam wobec niego szkaradnie... Dlatego nie chcę patrzeć na niego... Nie mogę spojrzeć mu w oczy...

Urwała. Zatonęła w głębi swoich wspomnień. Po chwili dorzuciła:

— Przyniosłam mu nieszczęście... Kto mi to powiedział, że ja nieszczęście przynoszę?... Aha! Moja teściowa... Panie Jurku — zairzała mu bystro, niespokojnie w oczy — pan się mnie nie boi? Uśmiechnął się łagodnie, smętnie.

— Nie. Ja nie boję się nieszczęścia... od pani... Gdyby nawet, to...

Nie dokończył i rzucił zaraz pytanie.

— Czy mógłbym wiedzieć, kto to jest ten pan w kawiarni i jak się nazywa?

— To Władysław Michnik, nauczyciel z Zalesinek. Był moim narzeczonym, panie Jurku...

— Narzeczonym?!

— Tak... Na dwa tygodnie przed ślubem zerwaliśmy, to jest, ja zerwałam w bardzo gwałtowny sposób...

— A!...

Jurek nie mówił już więcej nic, nie pytał, czując, że każde słowo jest zbyt ciężkim, a mogłoby nawet być niedelikatnym i bolesnym.

Józka milczała także. Weszli w planty, pograżone w mroku, owiane wonią kwiatów. Nie było tutaj tak gwaru, jak po inne lata. Główna aleja nie rościła się od tłumów spacerowiczów. Tu i ówdzie tylko snuli się po niej ludzie.

Ale w ciszę letniego wieczora, tak jak i dawniej, płynęły szmery szeptów miłosnych.

Ciemno-granatowe, gwiazdami wyiskrzzone niebo pobłażliwie spoglądało na młode pary, rozkoszujące się samotnością we dwoje.

Z odali dobiegały dźwięki muzyki, a życie grało odwieczną pieśń kochania i młodości.

Po niebie przeleciała złota świetlista smuga i zgasła.

Jakiś smukły, młody żołnierz szepnął do dziewczyny, przytulonej do jego ramienia:

— Zocha! Patrz, gwiazda spada! Prędko, pomyśl jakieś życzenie!

— Już pomyślałam...

— A jakie?

— Ty wiesz!

— Moja ty!...

Para mijala Jurka i Józkę. Żołnierz zaszeptał znowu:

— Za tydzień jadę na front... Może ta gwiazda, co spadła, to moja?!

— Nie mów tak! Nie mów!... To nie może być! Bóg dobry!...

— Ech! Dziewczyno moja, każda żołnierska chwila darowana!

I zanucił z cicha:

„Ej! szablecka ostra,
Ej! kulecki w kieszeni,
Ej! kto na wojnie padnie,
Ej! ten się nie ożeni...”

W świetle latarni, do której dochodzili właśnie, ujrzał Jurek, że po policzkach jego towarzyszyki toczą się dwie jasne krople łez.

— Pani płacze!... Pani Józku...

— Nic... Nic... Już przeszło... Niech pan sobie nic nadzwyczajnego nie wyobraża... Jestem tylko trochę zdenerwowana.

ROZDZIAŁ XVII.

Z pamiętnika Józki.

30. lipca.

Wiem jestem znowu w Łykowie. W tym obrzydłym pokoju, w tych samotnych czterech ścianach. Duszę się, dławie. Ale wytrwać muszę. Przecież ta wojna straszna nie będzie trwała wiecznie. I Konrad wróci... wróci... Och! kiedyż ja się tego doczekam?!

Powitanie miałam naturalnie bardzo miłe. Ona obejmowała mnie od stóp do głowy i powiedziała tym swoim tonem, co gorszy jest jak uderzenie białem:

— Już z powrotem? Czegóż się tak spieszyłaś? Mogłaś zabawić dłużej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

MARYA SEGEMY.

ŚWIT.

Nad szczytnymi wieżami starego zamku Świt powstał barwny. Wylonił się on z ciężkiego oparu zmierzchów nocnych i rozprzestrzenił po jaśniejącym niebie, drżącym falami czystego, wilgotnego powietrza, ciągnąc jeszcze gdzieś niegdzie za sobą długie smugi mgieł szarych. Ale wkrótce otrząsnął się z nich, choć niechętnie i zazdrosne o swoją władzę nocną ceniły się chytrze jego złotych promieni i snop długich, tęczyowych blasków rzucił przed siebie. Zajaśniał on teraz w całej potęgze swoich świeżych naderżniętych, na szczytach drzew skąpanych rosą. zapalił opalowe krople ciemne wody rzeki, podmywającej omszałe podwórze zamkowej góry, zamienił w szeroką taflę lśniąca, a okna starych komnat i wież trącaną jego upartem, przenikającym światłem, ożywiły się luną ciepłą, budząc zda się usnione duchy istnień, tu niegdyś żyjących. Ocknął się wielki płak biały, drzemający w gnieździe swoim na szczycie sirzelistej wieży. Rozpostarł olbrzymie skrzydła zmęczone zadługim wypoczynkiem i wsłuchał się zdziwiony w szmery niespodziewanie przenikające stuletnie, zmurzałe mury, nienawykły już do tych objawów życia, wydobywających się z pod ciężaru długiej, usypiającej ciszy...

Zda się że ten Świt powstający niesie w promieniach swoich wraz z ciepłem tchnieniem wiatru, przybyszem zdala, prąd ożywczej siły, przebijając omszałą skorupę bezwładności i martwość, rozpyła i odrzuca daleko szarą warstwę pyłu, nagromadzonego tu od lat tylu.

Świeży, silny prąd nowego życia przebiegał po starych, zaciemnionych komnatkach. Dzwignęła

się martwa powłoka, przytłaczająca wspomnienia przeszłości, które, jak snop iskier skrzających rozpięchły się teraz, wyplaszając ciemność zagnieźdżoną po kątach.

Jasny, promienny Świt, młodą poświatą pokrył niezwalczony mury starego zamku.

Wyprężyły się zżawo olbrzymie skrzydła białego płaka, zalopotały radośnie na powitanie tego złotego posłannika budzącego się dnia. Skrzydła jego śnieżne, siecią purpurowych żył znaczone, rozciągają się, olbrzymieją jak dwie przemożne i wielkie tarcze, któreby objąć chciały sobą Świat cały.

Uniósł się na gnieździe swoim i popłynął, prując fale drżącego powietrza, zamykające się za nim, długą, białą smugą...

Na obszernej polu, otoczonej ciemną linią lasów, wre walka zacięta.

Zmagają się siły, nienawiść i odwaga. Młoda krew płynie purpurowym siewem, ostatnią wielką daniną dla ziemi. Danina nieplonna, której okupem będzie życie samo.

Zmagają się siły wyolbrzymiałe w pamięci krzywd, rośnie nienawiść co z śmiercią tylko kończyć się może, rodzi się odwaga, co blaskiem cudu jaśnieje... Sprawiedliwość herło ujęła w rękę silną, żelazną... Natura cała zdumiona tym żywiołem, który zakłóca jej spokój i równowagę, skupiła się w sobie cicha i martwa. Tylko łasy stojące zwartym rzędem podejmują odgłosy głucho i przeciągłym echem roznoszą je po swoim państwie.

Tętni ciężko ziemia, tratowana tysiącami nieciepliwych stóp ludzkich, padają kule z suchym, świszczącym szelesem, z zwycięskim rykiem uderzają granaty, śmierć szerząc wokoło. Chyli się pokłosie ludzkie zmożone. Nad polem zawisła gęsta, nieprzebita plachta sinego dymu, podsycana ciągle świeżym napływem fantasty-

cznych, wijących się kłębow. Niekiedy poderwie je silniejszy prąd wiatru i szarą przedzę rozsunie daleko.

Wre walka, nie pomna na noc, co czarnem skrzydłem zawisła nad światem, niby daleki całun nadchodzącej śmierci.

W szeregach walczących duch ciemności czyni już spustoszenia swoje. Przygasają źrenice, powłoką mgły pokryte, ręka omdlewa, prądem świeżej krwi nie ożywiona.

Ale już brzask wstaje, przygnany promieniami Świtu. Ku pomocy idzie tym, których znój bierze w moc swoją, jasnym światłem kładzie się na czoło bladej pokrytem. Zwalczony duch ciemności uchodzi spieszenie, bo oto idzie ten, któremu nie oprą się zmierzchy podstępne. Rozbłyśły oczy, szerzej odetchnęły piersi, zniknęła niemoc dłoni. Duch siły i jasności wstępuje w szeregi. Świt zabłysnął barwny i ciepłym tchnieniem przeniknął, promienie złote syją po drodze, nowe siły życia i nadziei wiodąc ze sobą.

Walka przemienia się w bój rozpaczliwy i wielki. Gorzej dusze poderwane do lo u zwycięskim prądem, wzmacnia się odwaga skrzepiona ożywczym światłem.

Pędzą naprzód szeregi ogarnięte zwycięstwą szaleń! Prowadzi ich Świt, zwiastum nadchodzącego dnia! Padają szeregi nieprzyjacielskie na ziemię wilgotną, jak łany, podcięte nieubłaganą kosą śmierci. Pierzchają ostatnie w popłochu, dyszące lękiem i zdumieniem, pomne tylko na śmierć i zniszczenie, rozsiewane przez tamtych w okolo.

Nad polem żałoby, w kłębach białego dymu, unosi się wielki płak biały, potężnym skrzydłem swoim zda się zasłaniać zwycięzców. Na śnieżnych piórach jego Świt zapalił purpurowe blaski...

K O N I E C.